



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubryniewicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Zima się mocije, ale z dniem każdym coraz bardziej zwyciężkie słońce berło władcze w swe łonie bierze.

Dobrowolnie nikt z zajętego stanowiska nie ustępuje, to też i zima, która przez czas tak długi w lodowatym swym objęciu trzymała świat cały, chmurzy się i zaszumi wichrem, okrutnym chłodem wionie, śnieżycą sypnie, gradem uderzy po dachach, po rozpogodzonym na chwilę niebie wionie ciemnym chmur płaszcem, gwałtowną ulewą zapłaczę, dmuchnie groźbą wiatrów mrozących, przypominając ziemi, że ona jest jeszcze jej władczynią—jednak, pomimo tych wszystkich wysiłków, groźb i zgrzytów — raz wraz niebo roztrąca mgły płowe, rozdziera skupione całuny chmur i spoziera ku ziemi przejrystą barwą błękitu, niby koorem nadziei, a słońce patrzy żrenicą coraz jaśniejszą, za promykiem promyk wysyła, coraz cieplejszy, złocistszy, jakby mówiło: „Nie lękaj się ziemio chmur, nie lękaj się wiatrów, co pierś ci mrozą — ja czuwam nad tobą. Przetrzyj żrenice i śledź mnie okiem baczem. Czy nie widzisz, że z dniem każdym zajmuję coraz większy obszar błękitów, coraz wyżej łuk swej drogi zakresłam? czy nie odczuwasz ciepła, które powoli, krok za krokiem łamie wiatrów potęgę mrozącą a w łono twoje ożywcze soki wlewa? Nie lękaj się, nie drżij — chwilę, niedługo chwilę poczekaj jeszcze, a zazelenieją pola i niwy, roztworzą się ku mnie kielichy kwiatów, słowiki uderzą w pieśń, w zwycięską pieśń wiosny!”

Tak dobre słońce pociesza i obudza nadzieję w umarłej piersi ziemi.

Zima się mocije, ale przez mgły, chmur zasłone, przez ruchomą mozaikę spadającego śniegu przebija się złocisty a ciepły promień słońca. Czasem się niebo zupełnie z chmur rozbiiera, błękitem się uśmiechnie, rzuci jasny promyk nadziei zbliżającej się wiosny. Nadejście jej przeczuwają już wróble — posłuchaj ich świergotu a uwierzysz w prośroctwo ptaszków. Czas szybko pomyka, lada dzień, lada chwila posłyszysz stuknięcie w szybę okienka:

— Puk—puk—puk!
— Kto tam?
— To ja — Wiosna!..

Rozkoszne wołanie!

Zawczasie może, a jednak z głębi piersi westchnąłem do wiosny. Nie wiem sam dla czego, lecz mnie znuzyla ta zima, choć—Bogiem a prawdą, z natchnień wiosny nie wiem czy skorzystać mi się uda.

A pragnienie?

Czemże ono jest, jeśli zaspakajonem być nie może?

Cóż, że otwartą żrenicą pogonię za ulatującym kluczem żorawi, gdy sam nie pogonię za nimi? cóż, że pieśń słowicza rozsypie się w perły w gajach zielonych, gdy nie ja zbiorę te perły? Brzydki samolub ze mnie — to prawda! lecz przypomnijcie sobie słowa Lirnika wioskowego, który w chwili gnębiącego żalu rzucił skargę ku niebu:

... i jam boże dziecko.—

Ach — i mnie się szczęścia trochę należy na świecie!—

Znajdzie się i więcej samolubów podobnych.

— Panie kronikarzu—do porządku!

— Czy w nim nie jestem?

Wiem z doświadczenia, że suchy wykaz spraw codziennego życia nie zawsze jest zabawnym. Nie wziąłem wreszcie na siebie roli reportera, który z całą sumiennością w notatniku swoim wszelkie zapisuje drobiazgi, by niemi ogół uraczyć. Całkiem inne jest przeznaczenie gawędziarza, który, aczkolwiek ma baczne ucho na sprawy ludzkie i czasem coś z reporterską zatnie—może chwilami wodze popuścić mniej krępowanej myśli i o wiosnie zamarzyć i—Bóg wie z kąd nieraz przybyłym smutkiem, podzielić się ze słuchającymi go chętnie. Zresztą tak głucho na świecie, tak pusto w duszy bywa. Prawda, że świat drga życiem, lecz czy zawsze wolno falam jego uderzyć o serce gawędziarza? Jedne przepływają przez nie, nie pozostawiając na niem najmniejszego śladu, inne je ranią boleśnie, lecz ból bywa takiego rodzaju, że trzeba go ukryć w głębi w piersi; inne bywają tak smutnie lichy, że nurzać się w nich myśl nie chce. A oto o naznaczonej godzinie zeszli się dumni, dobrane znajomi i wołają:

— Baj, bajul..

Chciałbym zacząć od słów:

„Był sobie dziad i baba...”

Albo bywam w tak dobrym humorze, że rozpocząłbym:

„Chodziła czapla po desce...”—

Doprawdy, że przypominam sobie nieraz tę czaplę, o której sennemu dziecku prawila nianka przed laty.

Ach! jak się zasypiało wysmienie przy jednostajnym słów tych powtarzaniu, moj Boże—jak się to spało!..

Ot, wiecie, że chciałbym, ażeby kto mnie dziś bajką taką ukołysał, bez marzeń sen taki na oczy sprowadził...

— Cha—cha—cha...

Parsknąłem śmiechem.—

Co za dziwaczne żądanie!

Zbudził mnie ten śmiech mój własny...

Cisza, spokój — na biurku bladym płomykiem lampka płonie, na stole przede mną leży kartka zapisanego do połowy papieru, stos książek, jedna w szarofioletowej okładce, na której widać rozstawione kości ręki ludzkiej z lekkim cieniem ciała i silne zarysowanym pierścieniem na stawie jednym.

— Röntgen, promienie X!

— Tak—tak—tak... O nich to właśnie jest broszurka napisana przez samego autora, tłumaczona przez p. S. Srebnego, wydana nakładem księgarni Poprockiego i S-ki.

— Ooch!

— Co? to *ooch* długie przypomina mi coś, jakby ziewnięcie albo oznakę zniechęcenia. Nieśmiało słyszę pytanie:

— Czy może już nie dosyć o tych promieniach X?...

— Daję słowo, że nie dosyć. Toć to dopiero początek sławnego wynalazku, maluchne jeno nie, w porównaniu z tem co przyszłość przynieść może. Zresztą nie mam zamiaru powtarzać tu treści zajmującej broszurki, opatrzonej portretem autora i siedmiu rysunkami, zaznaczę tylko, że ta broszurka jest odczytem, który p. W. K. Röntgen, profesor uniwersytetu w Würtzburgu wygłosił w końcu Grudnia roku zeszłego na posiedzeniu Towarzystwa Fizyczno-Lekarskiego i—dodam jeszcze że gdy ów odczyt został następnie wydrukowany i wydany w oddzielnej broszurze, już w końcu Stycznia r. b. ukazała się w trzecim wydaniu.

Podkreśliłem w *w trzecim wydaniu*, a przecie to nie powieść, nie romans o bardzo interesującej fabule, tylko sobie proste sprawozdanie z badań nad tajemniczymi promieniami X.

To *trzecie wydanie* jest wiele mówiące. Doprawdy, że Niemcy są narodem dojrzałym i czytać lubią nie tylko powieści. Mówiąc jednak o tej dojrzałości umysłowej Niemców, nikomu przytyku nie robię. Jestem mocnego przekonania, że i u nas, nie tylko uczeni, ale i szersza publiczność interesuje się tym nowym wynalazkiem. Niewiedomością w rzeczach podobnych nikt się tłumaczyć nie może, ani zechce, bo nie masz pisma ani piśmka, któreby wciąż na swych łamach nie umieszczało, albo fotograficznych zdjęć dokonywanych za pomocą tych röntgenowskich promieni, albo wzmianek o wynikach nowych badań i stawianych na przyszłość nadziei, a badania te są coraz ciekawsze i kto wie czy promienie X, zanim dostateczne, pozytywne znajdą zastosowanie w chirurgii, czy wprzód jeszcze nie oddadzą wielkiej usługi w dziedzinie przemysłu.

Próby, z metalami naprzykład, nie są pozbawione rzetelnego interesu. Za pomocą promieni röntgenowskich możemy badać *jednolitą* płyt metalowych. Zły odlew zostaje natychmiast przez nie zdradzony, każdy wewnętrzny pęcherz lub szczelina ujawni się wnet przez ciemniejszą plamę na kliszy.

Różne metale przepuszczają rozmaicie promienie Röntgena, przeważnie cięższe przepuszczają gorzej niż lżejsze, jakkolwiek nie można podciągnąć pod ogólne, nie mające wyjątków, prawidła, albowiem, np. cyna, choć jest lżejszą od mosiądzu, przepuszcza promienie gorzej aniżeli sam mosiądz.—Korzystając z tej nierówności przepuszczania różnych metali, za pomocą odbiły fotograficznych daje się łatwo rozpoznać niejednorodność badanych płyt.

Oto, naprzykład, ciekawe doświadczenie:

Wzięto płytkę mosiężną, w której porobiono otwory, a następnie zalano cyną miejsca próżne. Po dokonaniu tego, płytkę przewalcowano, pokryto dość grubą warstwą miedzi, tak, że najwprawniej sze oko obcego metalu dostrzedz by w niej niezdolało. Niedyskretnie tymczasem promienie Röntgena zdradzają szalbierstwo: na płycie fotograficznej zalane otwory występują zbyt jawnie, ażeby można powątpiewać o oszukanstwie. Tak więc każda szczelinka ukrywająca się przed naszym okiem, każda obca domieszka wnet wykryta zostaje. Nie dość tego, jednolita nawet blaszka mosiężna, jednej grubości wszędzie lecz gęstości niejednej, z miejscami utlenionymi i ta zdradza tę niedokładność swoją za pomocą występujących na fotografii pasm jaśniejszych i ciemniejszych. Dotąd, to wszystko są próby jeszcze, które jednak z czasem niemałą przemysłowi oddać mogą usługę, cho-

dzą jednak już słuchy, że w Wiedniu na wielką skalę próby te się odbywają dla zbadania jedno-stajności blach używanych na kotły, szyn żelaznych do dróg kolejowych i dział nawet.

Kto wie, wiele czasu upłynie, może spora kupka lat, a może miesięcy kilka, gdy uproszczony i udoskonalony zostanie sposób fotografowania za pomocą tych wścipskich promieni, a wówczas przemysł zyska środek potężny do badań i sprawdzeń, a wówczas każdą armatkę ulaną tak doskonale mieć będziemy, że żadnej skazy na niej, jak na najskromniejszej dziewicy, dojrzeć nie potrafimy.

I jak tu nie wspominać o znakomitym wynalazku profesora z Würtzburga, o wynalazkach w ogóle, które, z jednej strony przyczyniają się do wyniszczenia rodu ludzkiego, z drugiej do łagodzenia jego bólów i przynoszenia ulg w cierpienia. Naprzykład: wkrótce ślepi widzieć będą, a znów jakieś promienie mają ten iście Chrystusowy cud dokazać. Dokonanych prób kilka w Petersburgu wydało już nie złe rezultaty z zastosowaniem do tego przyrządem: ślepy dostrzegł kształt okna, nawet cienie przesuwających się postaci.

Doprawdy — nie zdumiewa nas zakres wiedzy ludzkiej, bo za malutki jest—lecz obszar nietkniętych pól, bezgraniczność ich olbrzymia, pokryta dotąd nieprzeniknioną mgłą tajemnicy. Lecz duch ludzki nie zna spokoju, nie zna zniechęceń, przed okiem swoim ukryte zazdrośnie tajniki przyrody zdobywa siłą swojego rozumu, nie trwożą go nieprzełamane zda się na pozór przeszkody, walki, z utratą częstokroć życia połączone.

To parcie się naprzód, to łowie borykanie się z potęgą natury, mówią o królewskości jego, o wyższości nad wszystko, co jest ziemskie. Ostatnim wyrazem stworzenia—jest człowiek, a ta moc jego, ta potęga nie w liehej sile fizycznej skupia się, lecz w onej tajemniczej mieszkance zwojów mózgowych, którą dusza zwiemy.

W naturze nie ginie.

Maż zginać ta moc, ta potęga bez której wszystkie siły przyrody, objawy jej cudowne, podobne byłoby do księgi w pięknej oprawie, zamkniętej na klamr siedem. Na co przydałaby się ta księga, gdyby do odczytania jej nie było nikogo? Tymczasem przeziera się karta po karcie, cudny poemat kreślony ręką nieznanego lecz wielkiego Mistrza rozwija się przed nami. Przygniata nas wielkość jego Twórcy, lecz zarazem w serce błogą wlewa nadzieję, że ów Mistrz nad mistrze jest Rozumem nad rozumami, i nakreślając prawa wszystkim siłom przyrody, nas, badaczyw tych praw, powołał do celów wielkich. Każdy krok na drodze postępu, każda zdobycz nowa wiedzę naszą rozszerzająca, przejmuję wciąż olbrzymią dla tego Mistrza, którego dziełem rąk i ja jestem, którego w uwielbieniu zowią — Bogiem!

Dalej i dalej snułbym myśli na temat podobny, bo wszelka pogawędka miła jest w kółku dobranych słuchaczy, lecz wciąż mnie ze snu marzeń budzą sprawy codziennego życia.

Ot i w tej chwili słyszę kołatanie do drzwi mojego gabinetu.

Kto tam?—myślę.

Może niepożądany gość w tej chwili samotność moją przerywa? Przyczajam się więc i milczę.

Znów kołatanie...

Postukasz sobie i pójdziesz — dokończam w duchu.

Chwila milczenia i—dzwonek się odzywa raz, drugi i trzeci.

Rad nie rad do drzwi się zbliżam...

— Kto tam?—rzucam pytanie dość niecierpliwie.

— Z drukarni po rękopis, proszę pana? — odpowiada głos dziecięcy.

— Do Bluszezu?

— A tak!... Pan Głowiński się niecierpliwi, bo to wszyscy panowie na ostatni dzień odkładają pisanie, — teraz nie ma do roboty, a później, jak zwał się *skrypta*, to aż palce bolą od machania, a na czas wszystko być musi.

Ozuję się winnym... winnym tem bardziej, że nigdy kaligrafistą dobrym nie byłem, i mógłbym pięknie odczytać pomniki z czasów faraonowych.

Ach! ta kaligrafia... jak ona mnie męczy, a wiele rzeczywistej przykrości panu Głowińskiemu sprawia. Gdybym miał czas udałbym się do pana Reusnera, ażeby mnie nauczył kształtne litery stawiać,

a zrobiłbym to nie dla własnej satysfakcji, lecz dla tych umęczonych oczu panu Głowińskiego, które rękopisy moje czytając, nużyć się muszą, dla jego rąk spracowanych, których inaczej, jak uściskiem serdecznym, wynagrodzić nie mogę. Głosowałbym zawsze za tem, wbrew własnemu interesowi, ażeby rękopisy były wyraźnie pisane. Lecz jak czasami trudno jest tego dokazać, gdy ręka pisarza trzęsie się od przepracowania, a oczy zmęczone odmawiają niejednokrotnie posłuszeństwa, przed wzrokiem płaczą się i skaczą litery a pisać trzeba, pisać bez tehu, bez odpoczynku, by na dzień następny nie tylko siebie, lecz jeszcze i koło siebie kogoś żywić.

— Panie, rękopisa; mnie do cenzury śpiesz się—kwili głosik dziecięcy.

— Zaraz, mój kochanku, zaraz—zaczekaj chwilę. Oto masz kawałek cukru, przysiadz sobie w kuchence i schrupaj, a ja wnet skończę.

Chłopak wziął się do cukru a ja do swojego biurka wróciłem.

Pisać... Zaraz... o czym?

Tydzień ubiegły zdaje się, że się niczem zbyt ciekawem nie odznaczył. Przypominam wypadki, zamięram do notatnika. W pamięci pusto, w notatniku nie lepiej. Na Krakowskim Przedmieściu nienawolny woźnica ugodził dyszlem pana K.; na Miedzianej ładowny wóz się wywrócił i przygniótł idącego przy nim fornała; w szynku przy Dzikiej Wojtek poturbował Grzesia; na Smoczej napastnik jakiś pod piątą żebro nóż jakiemuś przechodniowi wpa-kował; tam esencji oetowej napiła się jakaś pokojówka, tu podruczonego dzieciaka znaleziono, statystyka miejscowa zapisuje wciąż skrupulatnie większą ilość rodzących się chłopców, a oto zjawia się jakieś nowe przedsięwzięcie, tym razem „angielskie“, które zamierza wybudować w Warszawie wspaniały teatr do przedstawień „w lekkim stylu“ coś à la wiedeński Ronacher. Na żądanie agenta spółki p. M., inżynier zajął się już wyszukaniem odpowiedniego placu pod budowę i wyjednanie u władzy pozwolenia na wzniesienie tego gmachu, którego plany, rzeczona spółka ma już w pogotowiu. Budowa i urządzenie teatru wynosić będą pokązną sumę 800,000 rs.

I tak dalej w kółko a w kółko płaczą się znajome nam dobrze wypadki i powstają bardzo piękne projekta, któremi tak wspaniale została upiększona Warszawa, bo czyż nie mamy wzbudzących podziw w cudzoziemcach prześlicznych bulwarów nad Wisłą? czy nie zachwycają oka naszego wspaniałe domy na placach po szpitalu Dzieciątka Jezus? czy halle targowe nie są urządzone z komfortem, a ulica Karowa ze swoimi zakrętami i tunelami, nie jest ze wszystkich najpiękniejszą? Zaledwieśmy skończyli z elektrycznym oświetleniem miasta i elektrycznymi tramwajami, a już się wznosi teatr wspaniały, gdzie mają być dawane przedstawienia „w lekkim stylu“. Projekta rodzą się, jak grzyby po deszczu i znikają jak grzyby, tylko że z nich jest jakiś choć dla podniebienia pożytek, a tamtemi żaden smakosz się nie pożywi.

Jest jednak jeden projekt, a właściwie myśl zacna, przez zanego rzucona człowieka, która, nie radzi byłibyśmy, by zapomnienia popiołem przysypała została. Myśl—to jeszcze nie czyn, może być ze wszech stron rozpatrzona, przedyskutowana z całym spokojem, w tym a w tym punkcie zmieniona, lecz nie napadana zbyt wcześnie i przez złe zrozumienie rzeczy lub zjadliwe uwagi zwiechnięta w samym zarodku.

Mamy tu na uwadze, artykuł Adama Pługa, drukowany w *Kurjerze Warszawskim*, pod tytułem: *Wydzieńdżyczeni*.

Wydzieńdżyczeni Pług nazywa pracowników pióra: literatów i dziennikarzy.

Za ostrą ta może być nazwa, całkowicie nie usprawiedliwiona, lecz że tym pracownikom, w pewnej części przynajmniej, nie po różach życie upływa to więcej niż pewne, a bądź co bądź ten świat literacki jest jedynym prawie pionierem postępu i oświaty, dodam nadto, że w naszych warunkach, jest jedynym przez którego świat daleki wie jeszcze coś o nas, jest jedynym, który technię życia wzbiedzone społeczeństwo i o tem życiu znać daje. Praca jego jest zmusna a niepopłatna wcale. Są i tu wyjątki szczęśliwsze, lecz one nie przesadzają sprawy. Wogóle—wielka bieda, przy trudzie nadmiernym

est ich udziałem. Na pozór to może inaczej wygląda, bo nie słyhać skarg, bo się ran nie odkrywa, bo to ubóstwo ma wiele dumy w sobie i nie rade jest wtajemniczać nikogo do sanktuarium swojego życia wśród ścian czterech. Ci nie spijają słodkich nektarów win, nie rozbijają się po restauracjach, w milczeniu ciągną pług swój ciężki, pośrednio dla siebie, bezpośrednio dla przyszłości — nie swojej — pracując. Tacy zwykle mają dwie rodziny: jedną, której potrzeba dać chleb, odzienie, no i także skarb wiedzy i uczuć, a to nie przychodzi bezpłatnie i — inną, dla której rzucają kwiaty swojego ducha, którą otaczają światłem swojego umysłu. Dla tej drugiej, często pierwsza w zaniedbaniu bywa i tego im za grzech nawet policzyć nie można, przeciwnie, byłby nieraz występkiem postępki inny. Możemy być pewni, że ci, o których mówię, nie zwrócą się do społeczeństwa (dla którego, choćby wszystko poświęcili) z żądaniem pomocy. To należy do samego społeczeństwa, które częstokroć nie wie o nie-wypływających na jaw — cierpieniach. Adam Pług nie popełnił grzechu gdy przypominał o nich.

Chodzi tu o kasę pomocy dla literatów, o podtrzymanie ich w częstokroć bardzo ciężkich chwilach życia. Nie zgodzimy się może na wzywianie ogółu do składek, wszelki datek jałmużną traci i dla tego jest przykry. Lecz przedwczesnym rwestem nie powstrzymujemy filantropii, która tu może właśnie najwdzięczniejsze dla siebie pole znaleźć. A co komu do tego, gdy ktoś, zamiast krocie na szpital lub kościół, rzuci na kasę literackiej pomocy? Pomijając jednak ten rzadki wypadek, rzecz sama jest godną zastanowienia, i powinna być przeprowadzoną albo zbiorowemi siłami samych literatów, albo przy pomocy panów wydawców pism, którzy, posiłkując się ich pracami, nie rzadko spore zbijają kapitały, podczas gdy pracownicy pióra nie, nawet na trumnę dla siebie zostawić nie są w stanie.

Tym czasem rzucana myśl przez autora: *wydziedziczonych*, z dziwnym spotkała się głosami. Zapomniano nawet kto myśl tę podniósł, z czyich ust słowa wypadły. A nam się zdawało, że samo nazwisko Pługa, powinno go ochronić od napaści. Pięćdziesiąt lat pracy uczciwej, żelaznej pracy i, czyny prawdziwego miłosierdzia z zupełnem nie-raszaparcieciem się siebie, — to nie jest rzecz codzienna. Tymczasem jedni oburzyli się, przez złe zrozumianą dumę, inni zakwestyonowali *oświecą* samą, w której imię Pług przemawiał, robiąc do tego nie-przystojne dotyki; tym nie podobało się zwrócenie się Pługa o pomoc do ogółu, inni uważali wprost, że literaci nasi nie są godni światła bożego, bo albo prowadzą społeczeństwo na bezdroża, wyzuwając go z wszystkich źródeł religijnych, albo hołdując wszelkiego rodzaju zdrożnościom. Społeczeństwo nawoływane nawet zostaje, by się chronić przed nagabywaniem, i nie dało się uwieść słowom człowieka, który tymczasem może służyć za wzór obywatela i za wzór czystości myśli i czynów, za wzór, jako sługa i wyznawca Chrystusa.

Mamy nadzieję, że naród nasz nie da ucha tym głosom o dźwiękach fałszywych. Za nadto mu jest znane imię, zasługi, życie i ciernie tego życia przez jakie Adam Pług przechodził, by odrzucił rzucaną przez niego myśl zasnę. Projekt jego w wielu punktach zmieniony i wypełniony być może — lecz myśli przykładać trzeba i — w spokoju do zapoczątkowanego przystąpić dzieła.

Minął karnawał, echa zabaw nie umilkły jednak. Nie wolno tańczyć, na porządku dziennym są więc rauty. Ostatni raut sobotni miał tę wyższość nad innemi zabawami tego rodzaju, że nie nudzono się wcale lecz, o ile można było, bawiono się wymiennie; wyróżniał się tem także, że nie rozstawiono stołków i nie roznoszono herbaty. Słowem, było to coś w rodzaju przedstawienia amatorskiego, z estradowem podniesieniem, rozsowaną kurtyną, i kilkudziesięciu rzędami krzeseł, zajętych przed doborową publicznością.

Zabawa zaczęła się o godzinie 8-mej, rozpoczął ją śpiew p. Wysockiego, który zaśpiewał piosnkę z nieznanej operetki p. Karskiego, zatytułowanej „Tartarin“ równocześnie niemal rozsunała się zasłona i ujrzelśmy piękny żywy obraz przedstawiający Arabów Algieru zanoszających modlitwę do Allacha. Następnie przedstawił się obraz drugi: Święta Ceylja. Obrazy te ułożone zostały przez artystów malarzy: Cichockiego, Pawliszaka i Wielogłowskie-

go. Zajmującymi naprawdę były popisy małych artystów muzyków: Felci Reiffmanówny i Józia Ahrenda, po doskonale zaś wypowiedzianym monologu francuzkim przez p. Karolową Karską, nastąpiła kolej na przedstawienie. Odegrano Gawalewicza „Barkarolę, i komedię Fredry.“ Pan Benet. W przedstawieniu tym brał udział nasz high-life, a wykonane zostało doskonale.

Na dzień drugi raut się z temi samemi szczegółami powtórzył.

— Chłopaki!

— Jestem, proszę pana!

— Masz rękopis, a przepraszam ode mnie pana Głowińskiego i pokłoń się mu.

??

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

Człowiek już w dzieciństwie powinien się zapoznać z przyrodą, nie tyle ze względu na szczegóły i formy zewnętrzne jej zjawisk, jak ze względu na Ducha Bożego, który w niej żyje i nią rządzi.

We wszystkim działa i wszystko porusza jedno życie, albowiem wszystkim rzeczom świata dał je jeden Bóg. Wychowanie powinno prowadzić i zwracać człowieka do jasnego zrozumienia istoty swojej wewnętrznej, do zgody z naturą i do jedności z Bogiem, zatem dać mu znajomość samego siebie i ludzkości, znajomość bóstwa i przyrody — dać mu życie czyste i podniosłe, do jakiego znajomość ta prowadzi. Celem wychowania jest urzeczywistnienie uczciwego, czystego, świętobliwie pędzonego życia.

Matka powołana jest przez samego Stwórcę, aby była głównym czynnikiem w rozwoju istoty dziecka, a czego pod tym względem wymagać od niej należy, to miłości rozumnej. Bóg dał dziecku tej matki wszystkie zdolności, jakie naturze naszej są właściwe, ale jeden punkt ważny jest tu niewiadomym, do czego zwróci się jego serce, głowa, ręce — jakiej pracy mają się one poświęcić? Odpowiedź na to pytanie kryje w sobie tajemnicę przyszłego szczęścia, lub cierpienia tej istoty tak drogiej jej rodzicielce.

Czytamy w księdze świętej, że Bóg stworzył niebo i ziemię i wskazał mu wiodącą do niego drabinę, drabina ta istnieje dla każdego potomka Adama, ale musi się on nauczyć jak wstępować na nią, a to nie przez chłodne rozważanie rozumu, ani przez gorące porywy serca; wszystkie władze jego łączyć się tu powinny a wówczas jest on jedynie pełnym powodzenia szlachetnego przedsięwzięcia. Władze te dane mu są od urodzenia, ale do ciebie matko jego należy je wydobyć z głębi do działania w życiu.

Źródłem wszystkiego co spostrzegamy istniejącego w koło siebie i co stawia się myśli naszej przedmiotem, jest czyn, przez człowieka spełniony. Czyn zatem, działanie, musi być punktem wyjścia dla wychowania, które się przezeń rozwija, bo w czynie, w działaniu musi mieć ono początek i źródło swoje. Życie, działalność jego i pojmowanie go, to trzy struny w duszy dziecka, jakkolwiek może tu przeważać chwilowo dźwięk jednej lub drugiej, czy też brzmia wszystkie razem, razem powinno to tworzyć harmonię, jeżeli nie ma się stać rozdzwięk przykry.

Wartość każdego przedmiotu nauczania mierzy się tem, o ile rozwija on zdolność umysłu, zdolność zaś ta wytwarza się przez własną czynność umysłu tego. Pamięć powinna tu być podporządkowaną działalności władz wyższych: myślenia i pojmowania. Więcej czasu należy poświęcać nauce, która rozwija siłę myśli, niżeli gromadzeniu wiadomości, jakkolwiek wiedza otaczających nas rzeczy, więc dająca nam poznać co jest ludzkosć w jej pracach i otrzymanych z niej zarobkach, ma ważne kształtujące znaczenie. Człowiek tworzy to, co z ducha swego pragnień nabywać żąda, więc każdy czyn człowieka kształci go i urabia do życia, oraz wychowanie odpowiadające jego zdolnościom i ich siłom. Gdy tak nie jest istota młoda może się zmęczyć nadmiernie i zarazem utracić tę chęć kształcenia

się, która jest przecież gruntem pod siebkę wychowania.

Czyny dziecka nie mogą być oceniane jako objawienie się jego woli, bo brakuje mu jeszcze należytego umotywowania tej woli, a wrażenia działają silniej niż na człowieka dorosłego. Więcej też to, co dziecko czyni, nie może być brane w ścisłym jego znaczeniu dobrej lub złej chęci, bo brak mu umotywowanego poglądu na życie, a przytem dziecko jest więcej ruchliwem niż człowiek dojrzały, co wynika z szybszego lotu wyobrażeń, które też wielają się prędzej w czyn. To co dziecku miłem i wdzięcznem się przedstawia, staje się zarazem i pożądaniem i jest też to obowiązkiem wychowawców, aby umieli umiarkować gorącość jego chęci, która gdy w dziecku już opanowaną nie będzie, człowiek się stanie gwałtownym i absolutnym, a co gorzej egoistą, bo przy gwałtowności w zaspokojeniu pragnień swoich nie baczony już kogo dotknie i co urazi. Ludzi takich spotykają też z konieczności odwety przykre, cierpią nieraz — nieraz stają się nieszczęśliwymi a jestto winą rodziców, którzy jakoby z miłości dla dziecka a rzeczywiście z miłości własnej, która się od wszelkich niemiłych wrażeń uchyla, wychowali ich tak, że nie potrafią zyskać sobie przyjaźni ludzkiej, o którą się przecież od dzieciństwa przy pacierzu codziennym modlimy.

Ukształtować człowieka, człowieka prawdziwego, który mieści się w głębi każdej istoty ludzkiej, jak dowodzi tego szlachetny myśliciel, Disterweg, jest najważniejszem zadaniem wychowania. Przecież człowiek wszelki posiada indywidualność własną, której charakter, zdolności, właściwości różnego rodzaju pragną się rozwijać, aby następnie działać — brać udział czynny w rozwoju nowych pojęć postępu i dla tego żąda on dla ludzkości tak od rodziców, jak i instytucji publicznych, aby środków tej wiedzy dostarczano każdemu. Ale przedewszystkiem wzywa tu rodziców do spełnienia tego obowiązku nie tylko w skutek naturalnego uczucia miłości rodzicielskiej, ale i z poczucia się do powinności. Rodzice dają też niewątpliwie tę podstawę, na której buduje się przyszłość nie tylko ich dzieci. Tworzy ją szkoła, ale potrzeba aby grunt był tu odpowiedni aby dobre przyjmował on w siebie a złe zatłumiał. Nauczyciel każdy ma też tutaj obowiązki nie mniejsze i wstępując na próg szkoły powinien zostawić daleko po za sobą wszystko to, co jest ambicją, doktryną wyznawaną, należy mu bowiem pamiętać to tylko, że przewodniczy istotom młodym, których dusze ma niejako tworzyć, bo wskazywać im w co powinni wierzyć, czego od życia pożądać?...

Trzeba mu również odrzucić a bok wszystko to, co życie mogło w nim wzbudzić niewiary w człowieka i zaślaniać przed tą młodością stojącą dopiero u życia tego bram uchylonych, nie tylko nędzę ludzkości, ale przedewszystkiem słabość jej strony, więc zarazem i niemoc jego własną. Trzeba mu zapomnieć o wszystkim co jest w nim, lub koło niego i czuć się jedynie piastunem dusz, które mu zostały powierzone. Nauczyciel według podniosłych pojęć Disterwega nie jest tylko człowiekiem wiedzy wyższej, ale należy mu łączyć w sobie obok tego czystość myśli i szlachetne pojęcie przeznaczenia człowieka.

K E D Y D R O G A ?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Cofnął się myślą w przeszłość, pochłonięty wspomnieniami.

Istotnie, ta prześliczna dziewczyna patrząca na niego z ram obrazu pełnemi ognia i obietnic oczu-

ma, miała chyba prawo żądać, aby jej coś więcej ofiarowano nad to, co on jej ofiarował. Uważał ją dotąd za istotę zimną, kochającą się jedynie w swojej urodzie, żadną hołdów, z ambicją przytłumiającą wszelkie inne uczucia. Czyżby się omylił? Nie starał się wprawdzie nigdy dotrzeć do głębi jej ducha, zbadać charakter, poznać przekonania.

Gdyby zaraz od dnia ślubu, młodość jej, czuła opieką otoczył, gdyby oprócz złota dał jej i serca trochę, gdyby ich połączyła wspólność myśli i ona, z ufnością spowiadałaby się mężowi z uczuć, wrażeń i czynności swoich, może umysł jej byłby się wyrobił poważnie, charakter ukształcił, wyszlachetniał.

— Zwierzęciem jest człowiek który się żeni w tym okresie ogólnego zniechęcenia i znużenia, w jakim ja się znajdowałem, gdy rękę po ten świeży, wspaniały kwiat wyciągnął, — rzekł sobie z gorczyzą. — Musiałem oczywiście wszelką myśl gorętszą, stłumić w sobie resztką sumienia i obawy, aby światu nie przyczynić więcej takich moralnych i fizycznych kalek, jak ja sam. Życie mnie wycisnęło jak cytrynę i Kamilla ma słuszną zupełną czyniąc mi wyrzuty.

Westchnął i głowę na piersi spuścił. Oślepił go blask tych przepysznych źrenic patrzących na niego z portretu, kusiły nie po raz pierwszy purpurowe, zda się do pocałunków jeno i uśmiechów stworzone usta.

Sen uciekł daleko od niego.

Młde światło lampy sprzeczało się już z jasnym świtem poranka, z kościołka na wzgórzu przybiegł głos dzwonka wzywającego na mszę poranną, on leżał wciąż z otwartymi oczyma.

Czuł się wyczerpanym.

P. Kamilla powróciwszy do siebie, była również podrażniona i nie próbowała nawet szukać w pracy ukojenia.

— Tyle pięknych, głębokich myśli uleciało... — szepnęła z gniewem, składając rękopis — Oczywiście pisaćbym już teraz nie mogła...

Rozmowa z mężem poruszyła bolesną strunę, która smutnym dźwiękiem odzywała się nieraz w godzinach samotności czy przesytu.

Czuła przytem wstręt zwiększający się do męża, z dniem każdym więcej... Chciałaby uciec z tej atmosfery choroby i cierpienia i zapomnieć. I po co on dziś poruszył przeszłość i nudzi ją pustymi frazesami...

Niema na świecie siły takiej, któraby jakkolwiek łącznik sympatyczny wytworzyła pomiędzy niemi... Ona zresztą nie pragnie tego bynajmniej...

— Muszę pomówić z Dembińskim, — rzekła układając się do snu w miękkie puchy i atłasy. — Dobrze byłoby, wywieść ten skąleć gdzie na Południe... Tu tylko kłopot z nim ciągnął. Jakież on wstrętne! Z tą myślą zasnęła.

XIV.

W pałacu Zarzecim story pospuszczone, służba przesuwająca się na palcach. Wesołe odgłosy ruchliwego przedtem życia, zamarły, jak obumarła przyroda cała w objęciach zimy.

Mróż trzymał ostry już od tygodni paru, sanna się ustaliła i święta Bożego Narodzenia nadeszły w najprzychylniejszych warunkach atmosferycznych.

Dzień pierwszy świąt, jasny, słoneczny wywabił całą niemal ludność zarzecką do kościoła w Zambrowce.

Wybornie utarta droga przez jezioro, zaroiła się saniami mknącymi lekko po szklistej, zamrażniętej tafli.

Tylko pałac stał biały cichy i dziwnie uroczysty, jak gdyby w powietrzu słychać było szelest skrzydeł anioła śmierci.

Do sypialni Janiny po przez zapuszczone story wkradły się jasne, wesołe promienie zimowego słońca. Nie rozjaśniły one jednakże twarzy zebranych w pokoju chorej osób.

Janina spała. Na bładem czole nie było śladu bólu, kurcz przestachu nie ściągał oblicza wyidealizowanego przebytem cierpieniem,

Obrazy, które ją w ciągu dwumiesięcznej blisko choroby nękały znikły nareszcie i nieszczęśliwa, nie zrywała się już, nie uciekała przed marą przesładującą ją i zacieśniającą krąg jej myśli.

Wpatrzony z nateżeniem w oblicze śpiącej, stał doktor Dembiński. Niezłomny hart ducha, żelazna wola i energia widniały z tej twarzy którą troska zorała brzdami.

Myśl jego pracowała widocznie, wysilała się chcąc z najdrobniejszych na pozór dla innych nie mających znaczenia faktów, wysnuć dyagnozę. Stał prawie bez tchu, aby tak pożądanego snu nie spłoszyć i trzymał rękę chorej bladą i wychudłą.

Od ilu to dni on tak patrzył na nią i co w ciągu tych dni wycierpiał?

Kiedy szalenie ów, bezwładne ciało dziewczyny oddał chłodnej fali, Dembiński rzucił się w wodę i kosztem własnego niemal życia ratował ją.

O! bo walka to była straszna. Z jednej strony ten nieszczęśliwy czipający go się ramionami i ukochana, której słodka twarz zniknęła już pod wodą. Ciemne długie warkocze opłatały się jeno w koło złocistych lilii i trzein wysokich i one to pomogły mu uratować bezprzytomną dziewczynę.

Janina od tej chwili nie odzyskała przytomności. Zapalenie mózgu, gorączka nerwowa, pochwyciły młody organizm i Dembiński nadludzkie nieledwie dokonywał wysiłku broniąc skarbu swego, przeciw groźnym następstwom zaziębienia i przestachu.

On jeden tylko tej nocy nieszczęsnej nie stracił krwi zimnej ani na chwilę. Potrafił opanować zmęczenie fizyczne i niepokój szarpiący nim nieraz tak gwałtownie, że pasować się musiał z sobą aby krzykiem nie ulżyć męczarni serca.

— Synu mój! Pamiętaj, że ciebie jednego tylko mam na świecie, — powiedziała mu matka, gdy nazajutrz po wypadku zjawił się przed nią, raczej do matry niżeli do żyjącego człowieka podobny.

Jego, na chwilę zmogło wzruszenie.

Uczuł mocniejszą niż kiedykolwiek potrzebę, złożenia z dziecięcą ufnością skołatanej swej głowy na piersi matczynej.

Siłą cudownej intuicji odgadła wszystko, chociaż on nie zdołał znaleźć słowa na wypowiedzenie tego, czem serce jego przepełnione było.

Pogładziła miękką dłonią pomięte, pokurezone boleścią jego rysy, szepcząc:

— Bóg miłosierdzia pełen! Będę się za nią modlił Edwardzie, a ty pamiętaj o wielorakich swoich obowiązках. Słabi jedynie upadają pod brzemieniem bólu...

Chciała go podnieść, umocnić, ale jemu jeszcze się w piersi jęk odzywał głęboki.

— Ona umrze matko! — wybuchnął wreszcie z boleścią bezmierną. — O matko, com ja wycierpiał w chwili tej męki i niepewności strasznej, gdy jej słodką twarzyczkę ogarniętą cieniem śmierci na fali ujrzałem...

Łkanie głos mu w gardle zdławiło, ale też była to ostatnia już chwila słabości.

— Muszę jechać tam matko — rzekł zrywając się od jej kolan. — Telegrafowałem już do Warszawy po kolegę, któryby mnie przy szpitalu zastąpił...

Dembińska położyła mu dłoń na rozpalonym czole.

— Zabierz mnie z sobą, — rzekła. — W obec nieszczęścia przydam się w Zarzeczu. I tak potrzebowalibyście kogoś... Nie pozwolę czuwać nad nią obcej, a swoi potracili pewno głowy.

Błysk radości strzelił z jego oczu. Raz jeszcze pochylił się do kolan matki.

— Droga ty moja matko, najlepsza! — szepnął przeniknięty wzruszeniem. — Wlewasz mi spokój w duszę i nadzieję...

I od dnia tego, przy łóżku waleczącej ze śmiercią Janiny, zasiadła cicha, troskliwa staruszka, baczna na wszystko, energiczna i nie dająca się ani zmęczeniu ani żadnym trudom pokonać.

P. Helena skamieniała w swej boleści, nie zdolną była do zajęcia się czemkolwiek. Cios uderzył tak nagle i w taki niezwykły, okrutny sposób i ona na pół dotąd przytomna daremnie usiłowała pokonać osłabienie i nieudolność swoją.

Amelka, ze strasznego wstrząśnienia ochłoneła najpierwsza. Bez odrobiny krwi w twarzy, z zapadniętymi oczyma, w których ponury ogień się palił, przesuwała się po pokoju chorej jak cień, pomagając Dembińskiej, zawsze czujna i niezniechęta

chwytająca z ust lekarzy polecenia i wypełniająca je z matematyczną ścisłością.

— Zdumiewa mnie to dziewczę... — mówiła nieraz Dembińska, wskazując ją synowi.

Edward szedł wtedy ku niej, brał jej lodowate rączki w uścisk serdeczny i szeptał z uczuciem:

— Dobra p. Amelcia!.. bardzo dobra!

— Dnie mijały powolnie jak to zwykle nam się wydaje w chwilach choroby i cierpienia.

Nad gorączkującą rzucającą się w malignie Janiną śmierć krążyła i Dembiński pierwszy zaczął tracić nadzieję. Rachowano już tylko na siły młode i oczekiwano przesilenia, błysku jaśniejszej myśli, z trudną do opisanania męką i niepewnością.

Straszne to uczucie nawet na pięknej twarzy wielce dbającego o siebie p. Klemensa, odbiło się przynębieniem i wyżłobiło zmarszczki.

Bezustannie jego pytania doprowadzały do szaleństwa Dembińskiego. Usuwał też z pokoju chorej i osłupiałą matkę i tego troskliwego, zawsze jednak wyświeżonego i eleganckiego ojca, którego wodą kolońską trzeźwić było potrzeba gdy z piersi Janiny wydarł się jęk głośniejszy.

Jasny wesoły dzień świąteczny, napełnił wreszcie serca otuchą. Gorączka ustąpiła, przyszedł sen spokojny, pokrzepiający i jeśli chora zbudzi się przytomna...

Dembiński wpatrzony w nią o wszystkim zapomniał. Wiedział na mocy rozmaitych lekarskich spostrzeżeń swoich, że chwila obecna decyduje stanowczo, jeżeli już nie o życiu ukochanej jego dziewczyny, to o równowadze umysłu, który zbyt głęboko wstrząśnięty został.

Jakież okropne przypuszczenie! Truchlała nieprzytomna z boleści p. Helena, gryzł paznokcie w bezmyślnej wściekłości p. Klemens, drżała z obawy o syna Dembińska, i Amelka, której cicha rozpacz łączyła obym nawet wyciskała.

Dembiński tylko wydawał się spokojnym. Twarz jego nacechowana była żelazną siłą niezłomnej energii i woli. Siła ta, trzymała na uwierzy wszystkie miększe, osobiste jego uczucia. Był tylko lekarzem w danej chwili i jedna matka, w tej skamieniałej twarzy, ból srogi wyczytać umiała.

Godziny upływały, krótki dzień zimowy zbliżał się do końca. Zachodnia strona nieba płonęła purpurowo-złocistym ogniem, różowawy odcień przybrały ośnieżone szczyty gór za rzeką. Stada wron i kawek zapadały nad jeziorem, lub wzbijały się w górę, przyćmiewając chwilowo świetne barwy zachodzącego słońca.

Amelka z oczami w niebo utkwionymi stała przy oknie, niemej modlitwie oddana. Była to prośba bez słów, cichy jęk rozpaczonej duszy. Przenikała ją obawa jakiegoś nieszczęścia, zdawało jej się, że technie niem powietrze, które wciągała wpiers ściśniętą.

Dembińska zbliżyła się ku niej. Zatrwożył ją wyraz twarzy dziewczęcia.

— Dziecię drogie! — szepnęła. — Miejmy nadzieję i ufność w Bogu. Powinnaś swojej matce nieszczęśliwej, dodawać męstwa...

Poprowadziła ją przemocą prawie do kanapki, w zacisznym kąci umieszczonej.

— Siadź tu kochanie! — prosi łagodnie. — Taka jesteś blada i wyczerpana...

Amelka opierała się... Tak niedawno jeszcze było to ulubione do gawędek z siostrą miejsce i, tego wieczora właśnie, po raz ostatni rozmawiały z sobą. Śliczna, wesoła Jania, tuliła się do niej pieszczotliwie... a dziś? A teraz najdroższa jej sercu istota, spoczywa cierpieniem zmożona, a ona przechodzi wszystkie cierpienia i odcienia śmiertelnej obawy.

Ciche łkanie którego nie była w stanie stłumić, wydobyło się z jej piersi.

Dembińska wzięła ją w objęcia. W sympatycznej jej twarzy odbiło się wzruszenie. O! czyż i ona nie miała w życiu takich ciężkich godzin oczekiwania i niepewności!

Więc głosem cichym, tak łagodnym jak szmer fali w spokojny dzień letni, opowiadać zaczęła Amelce, o ciosach jakie ją samą spotykały w życiu, a które przecież przeżyła, jak wszystko co nas spotyka, zło czy dobro, przeżyć trzeba.

— Wszyscy cierpimy dziecię drogie! — dodała w końcu, bezwiednie kierując wzrok w stronę zapartzonego w chorą, Edwarda.

Amelka czy niewytłomaczoną intuicją wiedziała, czy wprost przypadkowo tylko, podążyła za nią wzrokiem.

Uderzyło ją coś niezwykłego w twarzy Dembińskiego, coś czego dotąd nie zauważyła. Wpatrywała się więc w niego z bolesną gorzką jakąś ciekawością i coraz głębiej sięgając mu do duszy, poznawała jego tajemnicę. Jakież straszne odkrycie! W chwili nieopisanej rozpacz przysłała dopiero do świadomości, że mu bezpowrotnie oddała serce swoje i doznała zarazem takiego uczucia, jak gdyby traciła wszystko co miało ją wzmocnić i podtrzymać, w chwili spodziewanego nieszczęścia i co jej kiedykolwiek obiecywało w przyszłości.

Konwulsyjnym ruchem ścisnęła skronie usiłując zebrać poplątane myśli.

Zapomniała o siedzącej obok Dembińskiej i twarz w dłoniach ukryła a kiedy ją odjęła po chwili krótkiej z sobą walki, nie było już na jej obliczu, tylko nagle przybyło mu wieku. Młoda jej twarzyczka zmieniła się i pokurczyła pod przyniatającym brzemieniem cierpienia. Lecz jednocześnie, myśl że samowolnie wdiera się do jego serca w celu badania go w tej chwili okropnej, wydała jej się świętokradztwem.

Na nie nie zważając, podniosła się i podeszła do Dembińskiego, w mimowolnym porwywie uczucia wyciągając do niego ręce. Czyż i on nie cierpiał równie głęboko jak ona w tej chwili?

— Bracie! — szepnęła. — Drogi mój bracie!

Dembiński drgnął, jak człowiek ze snu nagle zbudzony. Twarz jego, pod wpływem słodczy jej głosu i nazwy słodkiej jaką mu dała, ożywiła się, oczy straciły blask ponury.

W tem Janina poruszyła się... Blade usta drgnęły, czoło sfałdowało się jak gdyby pod naciskiem gwałtownie przywoływanej myśli.

Słaby uśmiech jak błąd promyk słońca wśród masy chmur skłębionych, ukazał się na przezroczystej wynędzniałej twarzy, z której cienie posępne ustępowały zwolna.

— Mamol! — wyszeptała cicho. — Ameleiu!

Dembiński zachwiał się... Po raz pierwszy siły go opuściły...

— Edwardzie! — upomniał go wzruszony głos matki

Spojrzał na nią z wdzięcznością i zarazem z takim wyrazem bezgranicznego szczęścia, że w oczach staruszki zamigotały łzy...

— O jakież Bóg dobry! — szepnęła ujmując w ramiona nieprzytomną prawie Amelkę.

Dembiński hamując w sobie uczucie pochylił się nad chorą.

— Panno Janiu! — wyszeptał miękko.

Wielkie, ciemne gwiazdy rozwarły się powoli, wpół zdziwione, wpół senne.

— Co to? — pyta z wysileniem. — Co się ze mną stało?

I zaraz potem zmęczona przymyka znów powieki; długie cienie rzęs czarnych kładą się na jej policzkach tak przejrzyste białych, jak białym jest kwiat lilii wysuwający się z delikatnych obłonek pod pierwszą pieczęcią słońca.

Ocalona, uratowana!

Zapomniała nareszcie o strasznych widziadłach, przed którymi wciąż uciekała chciała w ciągu tych długich, nieskończenie długich dni i nocy, budząc w sercach czuwających nad nią osób, ogrom bólesci i trwogi bezustannej.

Po raz pierwszy dzisiaj zapragnęła zobaczyć matkę, Amelkę i śliczne jej oczy patrzyły tak przytomnie, spokojnie...

— O! Bóg jest Wielki i Miłosierny! — powtarzała wciąż Dembińska, nie umiejąc znaleźć słów innych, w obec przepełnionego wdzięcznością serca.

W godzinę potem rodzina cała zebrała się przy łóżku Janiny. Cisza była taka, jak gdyby anioł śmierci, który tak długo krążył nad głową ukochanej przez wszystkich dziewczyny, przyczaił się tylko chwilowo, by potem znowu ciemne swoje skrzydła nad nią rozłożyć.

Czasem w milczeniu tem ogólnem poruszyła się pierś westchnieniem ulgi niewysłowionej, lub szepem serdecznym drgnęły usta p. Heleny:

— Janiu! moja Janiu! — i rozplątała się we łzach.

Od dnia tego, rozpoczęła się rekonwalescencja w powolnych ale naturalnych warunkach i obawa ustępowała. Twarzyczka Jani zwolna zaczęła się

wypełniać i tracić liljową swą białosć, pod oczami znikły ciemne koła, coraz częściej uśmiech zjawiał się na ustach.

Pewnego wieczora zamieć straszna szalała na dworze i Dembiński z matką pozostał na noc w Zazreczu. Stało się to na wyraźną prośbę Janiny, której żądaniu, nikt się teraz oprzeć nie śmiał. Dembińska nacieszywszy się zdrowym wyglądem chorej, odeszła na pogawędkę do p. Heleny, Edward pozostał w pokoju Janiny przyrządzając jej lekarstwo.

Grymasiła dziś trochę. Oburzała się przeciw despotyzmowi lekarza, który jej wstać nie pozwolił, odsuwała z niechęcią krople, skarżąc się na ich gorzyc.

Dembiński uśmiechał się pobłaźliwie, ale ze stanowczości swojej nie ustępował.

— Przeczytam za to pani coś pięknego, — mówił jak do rozpieszczonego dziecka wlewając jej w usta lekarstwo. — Trzeba zresztą samej starać się o to, aby rychło być zdrową...

Janina spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Prawda! — szepnęła. — Choćby przez wzgląd na pana... Zbyt wiele czasu i starań poświęcasz mi doktorze...

On nie nie odrzekł, tylko rękę jej podjął i do ust swoich na jedno mgnienie oka przycisnął.

Trwało to tak krótko, że dziewczyna prawie nie dowierzała sobie, czyli to było faktem spełnionym, czy grą jej wyobraźni. To jednakże odczuwała najwyraźniej, że błogie ciepło przeniknęło ją i pod wpływem tego uczucia, przymknęła oczy w rozmarzeniu.

Z gabinetu jej oddzielnego od sypialni podniesioną portyera, widać było delikatny profil Amelki siedzącej przy fortepianie. Janina bowiem zataściła do muzyki i pieśni dźwięki preludium Szopena przemawiały do jej duszy o wiele zrozumialej niżeli dotychczas.

Czemu? Bo i w sercu jej budziła się pieśń tęsknoty.

Dembiński nie przerywał jej zadumy.

Siedząc opodal łóżka wpatrywał się w drobną twarzyczkę, która, w obramowaniu białego czepeczka przypominała twarz dziecka.

W oczach jego promieniała głębia uczucia, zachwyt mało nawet usprawiedliwiony, bo Janina pod wpływem choroby zmieniła się ogromnie.

Rysy zaostrzyły się, świeżość cery zniknęła; oczy tylko chociaż dawnego ognia pozbawione, piękniejsze były niżeli dawniej, takie słodkie, a smętne. Dembińskiemu odkiedy uratował podwójnie prawie jej życie, ta szczupła, zniszczona chorobą dziewczyna, stokroć była droższą. Co więcej, zdawało mu się, że jest już jego wyłączną własnością i nie pozwoliłby wydrzeć jej sobie za żadne skarby świata. Jakże często uprzytomniał w pamięci swojej tę pełną grozy chwilę, gdy trzymając ją w objęciu toczył zacieklą walkę z obejmującą ich w uścisk śmiertelny falą. Czyż odtąd nie należeli już do siebie, czyż ich istnienia nie zostały związane tak silnie, że już teraz żadna siła rozerwać by ich nie potrafiła? Tak on myślał przynajmniej i tak się cały myśłom tym oddał, wzrok gdzieś w dal utkwivszy, że nie zauważył, iż od pewnego czasu Janina bystro się w niego wpatruje.

— Powiedz mi doktorze, — ozwała się wreszcie przerywając ciszę — co się stało ze mną owego wieczora, kiedyśmy to posprzeczały się ze sobą? — Pamięta pan? Nie mogę zdać sobie jeszcze z tego sprawy dokładnie, ale przypomnia mi się, coś niezwykłego, tak dziwnego, fantastycznego, że wprost wstydę się mówić o tem komu... Prawdopodobnie jest to wpływ osłabienia ogólnego, pozostałość nieprzyjemna po chorobie, ale w każdym razie, rzecz nader męcząca...

— Więc nie myśl pani o tem i nie wysilaj się... — szepnął trwogą zdjęty.

Zdawało mu się, że długa choroba zatarła w jej pamięci okropne szczegóły i, pragnął aby tak było...

Janina nie ustępowała.

— Muszę sobie przypomnieć... — powtarzała z uporem. — Muszę!... I to nawet jest dziwnem, że nikt ze mną mówić o tem nie chce...

Umilkła skupiając myśli, Dembiński patrzył na nią z niepokojem.

Po chwili, zaczęła szeptać jakby do siebie:

— Przypominam sobie wyraźnie, żeśmy długo rozmawiali z Amelką, żeśmy potem wybiegli do parku, a noc była księżycowa, gwiazd i blasków pełna... Potem ktoś mnie przestraszył, uciekałam... i — tu wspomnienia moje zacierają się... Co to było i dlaczego ja się rozchorowałam, dlaczego obciąłście mi warkocze i teraz jestem taka brzydka, najpiękniejszej i jedynej mojej ozdoby pozbawiona?

Zartowała niby, ale w głosie brzmiał żal, starannie dotąd ukrywany.

Dembiński pochylił się nad nią.

— Stokroć pani ładniejsza w czepeczku, — usiłował również zartować. — Wygląda pani jak maluskie „bobo“, pieszczoch mamina...

— Jakto? Czy tylko mamina? — spytała pozornie obrażona.

— Ależ nie, nie! — roześmiał się Dembiński. — Przepraszam! Moja matka najpierwsza oburzyłaby się... Trudno zaprzeczyć, żeśmy tu wszyscy niewolnicy...

— I pan? — spytała figlarnie.

A on rad, że rozmowa na inny przedmiot zesła, rzekł z uczuciem, które w innym razie byłby się pewno starał ukryć:

— Oczywiście i ja... Chociaż oboje zarzekaliśmy się przeciwko temu. — Pamięta pani?

Ale ona nie nie odpowiedziała. Pogłębiła ją myśl nowa. Czy to było senne, lub chorobliwe przywidzenie, że Dembiński kocha Orzełińską i ma zamiar z nią się ożenić? Zkąd jej to do głowy przyszło, pojąć nie mogła, a przecież pewną była że słyszała o tem i wiadomość ta, boleść jej sprawiła. Nie zastanawiając się, utkwiała swoje wielkie, ciemne oczy w jego twarzy i spytała wprost:

— Co się dzieje z p. Orzełińską doktorze?

On, nie nie podejrzuwając, z gorącym współczuciem opowiadać zaczął o smutnej doli sierocej p. Orzełińskiej, o coraz więcej wnikających się interesach, wreszcie o dzieciach, do których się przywiązał...

— Dziwnie mocna kobieta! — rzekł na zakończenie i nie pojmując doprawdy, z kąd czerpie siłę do tej nieustannej walki...

— Wyjątkowa jakaś istota! — szepnęła Janina przymykając oczy jakby znużona.

Dembiński spojrzał na nią zdumiony.

Jakże żywo przypominała mu dawną ową kapryśną i zagadkową, a dumną pannę, której poglądy martwiły go szczerze i brak uczuć cieplejszych ból sprawiał.

— Istotnie, p. Orzełińska nie należy do kobiet powszednich... — ozwał się poważnie. — Jest ząną i pocziwą matką, jak była ząną i pocziwą żoną. Matka moja, wiele ma dla niej uznania i sympatii...

Janina milczała.

Gdy się to przedłużało a oczy wciąż miała zamknięte, Dembiński pomyślał, że zasnęła. Podniósł się cicho i chciał odejść, lecz przeszkodziła mu Amelka. Skończyła grać i stanęła teraz przy łóżku siostry, zapraszając Dembińskiego aby pozostał jeszcze.

— Wieczór wyjątkowo smutny... — usprawiedliwiała się. — Taka brzydka zamieć, że światła Bożego nie widać...

Doktor z wdzięcznością spojrzał na nią i dziś po raz pierwszy, uderzył go wyraz jej twarzy zwykle słodkiej i w każdym rysie harmonijnej.

Mimo potężnego wysiłku woli, Amelka, nie była dotąd zdolną opanować swojego zawodu i bólu.

Może pozbędzie się kiedyś cierpienia swoich i tęsknoty, lecz teraz było jeszcze na to za wcześnie. A tymczasem cała jej istota uległa jak gdyby przeobrażeniu. Twarz nabrała chłodnego, surowego wyrazu, delikatne łagodne linie zaostrzyły się... Było w niej coś uroczystego, lecz i coś bardzo smutnego. Uzuła się chwilowo przynięcioną, ogarnęła ją niechęć do życia; pewną jednak była, że się otrząśnie z tej słabości, byle czasu trochę, byle odpoczęła. Pożegnała przecież sen piękny, marzenie, które musiało zostać zabitem, coś dziwnego że w duszę jej wstąpił smutek.

W obec trwogi o Janinę, w obec zajęcia się nią wszystkich, nikt dotąd na nią nie zwracał uwagi. To ją uszczęśliwiało!

Janina posłyszawszy głos siostry, poruszyła się żywo.

— Siadź przy mnie Amelko! — zawołała chwytając jej rękę. — Stęskniłam się do ciebie! Wpra-

wdzie p. doktor opowiadał mi takie budujące rzeczy o doskonałości p. Orzełińskiej, ale wyznają szczerze, że się znudziła i ledwo nie usnęła...

Roześmiała się, nadstawiając Amelce policzek do pocałowania i nie patrząc wcale na Dembińskiego, sama też pieścić ją zaczęła.

Dembiński spojrział na nią bacznie. We wzroku jego, była już tylko troskliwość lekarska i pewne zaniepokojenie.

Coś podrażniło, coś dotknęło osłabioną jeszcze chorobą dziewczynę. Ale co? Zamyślił się nad tem i nie słyszał prawie o czem siostry szczebiotały pomiędzy sobą; ocknął się dopiero, gdy usłyszał imię swoje wymówione przez Amelkę, z dziwnie miłym słodkim akcentem.

— Zaciągnęłaś względem p. Edwarda dług wdzięczności nigdy niewypłaconej, Janiu...—mówiła z przejęciem.—Tak jak i my wszyscy zresztą... Z czasem, gdy się dowiesz co dla ciebie uczynił...

— Panno Ameljo!—przerwał błagalnie Dembiński.—Nie mów pani o tem; proszę, błagam!

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Pomimo, iż Warszawa jest niewątpliwie bardzo muzykalnym miastem, nie posiadamy stałej, własnej orkiestry. Oczywiście nie bierze się w rachubę trzech orkiestr teatralnych, ponieważ te są zawsze zajęte i po za zajęciami swymi w zakresie uczestnictwa w widowiskach scenicznych, nie produkują się prywatnie wcale.

Wobec tego wszystkie koncerty nasze cierpią na brak niezbędnej siły artystycznej zbiorowej, ograniczać się muszą zwykle na produkcjach solowych, przez co słuchacze pozbawieni są owej pełni estetycznych wrażeń, które wypływają z harmonii, powstającej z współdziałania takiego znakomitego czynnika, jakim jest orkiestra na estradzie. Inaczej przedstawia się koncert, kiedy orkiestra w nim bierze udział, bądź jako akompanjament, bądź jako wykonawczyni wielkich utworów instrumentalnych.

Wskutek braku orkiestry własnej, latem Warszawa musi wprowadzać muzyków z zagranicy, aby mieć rozrywkę podczas ciepłych wieczorów ogrodowych. A przecież liczba wykwalifikowanych artystów jest u nas znaczna; napróżno jednak szukają oni odpowiedniego pola pracy, zmuszeni udzielać za bezcen lekcji lub przygrywać przy dźwiękach kufli piwa w zakładach gastronomicznych. Niejednokrotnie myślnano o zorganizowaniu stałej orkiestry, ale wszystkie usiłowania, w tym kierunku podejmowane, spełzły dotychczas na niczem. Pojedyncze kapelmistrzostwo kilku przedsiębiorców chwilowo i na krótko się tylko udawało.

W ostatnich tygodniach komitet wystawy hygienicznej obradował nad powołaniem orkiestry do codziennego grywania podczas przyszłej wystawy. Dużo na posiedzeniach dyskutowano, projektowano, zamierzano już nawet sprowadzić orkiestrę z Pragi; przeważał wszakże głos miłośników własnej muzyki i zabrano się do skompletowania zdanych kandydatów i wyćwiczenia ich, jak należy. Zwracano się poprzednio do komitetu towarzystwa muzycznego, aby tenże zajął się powyższą sprawą; komitet odpowiedział listem otwartym, gdzie motywuje odmowę:

„Orkiestra, jako czynnik artystyczny działalności instytucji muzycznej, wymaga nader rozważnego pod każdym względem przygotowania. Nietylko zgromadzenie sił odpowiednich, ale zapewnienie im trwałych podstaw materialnych jest warunkiem, wobec którego niepodobna rozważyć dorywczo projektów, zawiązywania krótkim, bo kilkutygodniowym zaledwie terminem. Na rozważną przejrzenie wszystkich szczegółów planu potrzebnym jest czas nieco dłuższy.“

Być może, iż pp. Münchheimerowi, Maszyńskiemu, Stattlerowi uda się przygotować orkiestrę miejsco-

wą, która zadowolnić zdoła publiczność, uczęszczać mającą na wystawę.

Warszawskie towarzystwo muzyczne obfity plan zebrało w konkursie, ogłoszonym na skomponowanie poloneza jubileuszowego: przysłano 14 wielkich partycji orkiestrowych.

Polonez ten przeznaczony został na koncert, który się odbędzie w dniu jubileuszowym towarzystwa muzycznego: skończyło ono w dniu 15 stycznia dwadzieścia pięć lat swego istnienia.

Pierwszym inicjatorem towarzystwa był s. p. Władysław Wiślicki, który dzieło zapoczątkował i dzięki energii swojej doprowadził do pomyślnego rezultatu. Miasto nasze, pozbawione instytucji, nie miało ogniska muzycznego, gdzieby się łączyć mogły rozproszone siły artystyczne Warszawy. Władysław Wiślicki, skromny nauczyciel muzyki, powziął myśl założenia towarzystwa, i myśl tę urzeczywistnić potrafił.

Dzielnym ten inicjator towarzystwa, pisze „Echo“, urodzony 1829 r., zmarły 1889, żywot swój spędził „na ciągłym służeniu sprawie, wówczas nawet, gdy komitet pierwszy gremialnie ustąpił. Nie było ani jednej sprawy, którejby Wiślicki nie podjął i nie przeprowadził mimo opozycji i niechęci współpracowników. Kierował chórami, pełnił obowiązki sekretarza i bibliotekarza i padł na stanowisku, jak żołnierz na placówce: przeżył się na lekcjach chórów przygotowywanych...“

Taki był twórca towarzystwa, które w ciągu swego żywota 25-letniego zapisało się dodatnio na kartach sztuki naszej. W r. 1871 towarzystwo liczyło 1064 członków, majątek wynosił rs. 8.194 kop. 40, *maximum* członków było w r. 1876, bo cyfra ta dochodziła 1282; *maximum* majątku rs. 12.026, kop. 87 miało towarzystwo w r. 1879; *minimum* członków było w r. 1883, bo liczba wynosiła zaledwie 644. W r. 1895 członków liczyło towarzystwo 900, majątek zaś jego wynosił rs. 6.294 kop. 13.

Dyrektorami towarzystwa byli kolejno: Aleksander Zarzycki, Józef Wieniawski, Fryderyk Stevieh, Władysław Żeleński i Zygmunt Noskowski. Obowiązki dyrektora pełnili zastępczo Michał Hertz, Ster prezydium dzierżyli: Sergiusz Muchanow, Janusz Rostworowski, Stanisław Kossakowski, Władysław Kronenberg, Stefan Lubomirski, Zygmunt Ryszczewski, Michał Karnicki, Feliks Czaicki i Bogumił Folland. Obecnie zastępczo pełni energicznie obowiązki prezesa p. Emil Marks.

Pisząc o Zygmuncie Noskowskim, zaznaczyliśmy skuteczną działalność znakomitego twórcy „Morskiego Oka“ na stanowisku dyrektora towarzystwa muzycznego; pod jego kierownictwem instytucja, chyląca się do upadku, wzrosła i dzisiaj stoi na poziomie wysoko artystycznym, wywierając wpływ na ogół naszego grodu.

Kiedy mowa o towarzystwie, wspomnieć wypada o istniejącej w niem sekcji imienia Moniuszki, której przewodniczy wytrawny artysta i krytyk, p. Zahorowski. Sekcja ta, poświęcona kultowi nieśmiertelnego twórcy „Halki“, pracuje nad gromadzeniem wszystkiego, co dotyczy pamięci Moniuszki.

Niedawno otrzymała ona od p. Münchheimera trzy libretta operowe niezapomnianego kompozytora; z trzech tych libret: „Budnik“, „Jordan“ i „Wanda“, ostatnie wyszło z pod pióra Gustawa hr. Olizara.

Nadto sekcja zdobyła cenne materiały do życiorysu Moniuszki; pamiętniki i albumy z rysunkami Czesława Moniuszki, ojca Stanisława. Materiały te posłużą dr. Henrykowi Dobrzyckiemu do opracowania studium o wielkim autorze „Strasznego Dworu“.

Działalności sekcji przyklasnąć należy, no i popierać ją trzeba: każdy, kto ma cokolwiek ciekawego do zakomunikowania w kwestyi, dotyczącej Stanisława Moniuszki, powinien z tem zwracać się do sekcji jego imienia i nieść jej pomoc chętną i bezinteresowną.

Ostatnie wieczory towarzystwa muzycznego były nader zajmujące.

Śpiew p. Lili Bachmansen zjednał sobie ogólny aplaus słuchaczy. Młoda artystka wykonała doskonale arye Anusi z drugiego aktu „Wolnego Strzeleca“ Webera. Talent to prawdziwy, a wykonczenie, świadczące o dobrej szkole i smaku śpiewaczki. Szereg pieśni staro-francuskich wypadł w tej interpretacji wybornie: wszystko tu było tra-

ktowane z wdziękiem i istotnie artystycznie. Oprócz tego p. Bachmansen odśpiewała pieśń Berlioz'a, p. t. „Absence“, z uczuciem, godnym najwyższego uznania.

Jednocześnie na tej estradzie wystąpił skrzypek, p. Konstanty Gawryłow, który już przed kilku laty popisywał się przed naszą publicznością. Gra artysty jest wcale dobra, nie wznosi się jednak bardzo wysoko; p. Gawryłow zmało panuje nad swoim temperamentem, przez to zamazuje nieraz frazesy, nie uwydatniając wyraźnie przewodniej myśli interpretowanego utworu.

Na wieczorze w ostatnim dniu zeszłego miesiąca zaprezentował się słuchaczom niepospolity pianista, p. Henryk Schule-Evler, wychowaniec warszawskiego instytutu, uczeń prof. Strobla, obecny nauczyciel w szkole muzycznej w Charkowie.

Skończona technika, pomysłowość w używaniu efektów fortepianowych, subtelność w ich wypowiedzianiu, zapał i szczerze temperament — oto przymioty gry utalentowanego artysty. P. Evler wykonał: „Gawota“ Dominika Zipoli „Sonatę“ (A-major) Scarlatti'ego, oraz utwory Bacha, Schumanna i Chopina.

Do najpiękniejszych koncertów w bieżącym sezonie zaliczamy wieczór „Lutni“ w d. 6 marca. Karne szeregi tej dobranej drużyny śpiewaczej wywołują zawsze najsympatyczniejsze wrażenie wprost tłumów publiczności, która poprostu kocha „Lutnistów“, unoszących ją na skrzydłach swej pieśni.

Program ostatniego koncertu wypełniły na wstępie utwory Dębińskiego „Do pieśni“ (ręcz przędziwna w swoim rodzaju) i Niewiadomskiego śliczny śpiew „Śród lasu:“ są to perły prawdziwego nauczyciela. Następnie usłyszeliśmy „Noc“ Krauzego, wykonaną wspaniale. W dalszym ciągu „Lutnia“ odśpiewała ze zwykłym artyzmem: serenadę Kierulfa „Cicho śpij“, gdzie solo tenorowe odtworzył bardzo pięknie p. Miłosz Kotarbiński.

Szczery interes budził utwór Adama Münchheimera p. t. „Dzban“, do nieśmiertelnych słów Jana Kochanowskiego napisany. Jestto utwór konkursowy, wykonany przez dzielnego kompozytora w sposób godny jego talentu.

W rytmie krakowiaka zamknął autor swój pomysł muzyczny i w wybornej charakterystyce oddał pieśń wesołą i pełną dowcipu; „Lutnia“ dwukrotnie utwór ten powtarzać musiała, zdobywając gromy oklasków. Po nad to odśpiewano: „Królów róż“ Schumanna, „Samotnika“ Krochata, trzy pieśni Moniuszki.

W interpretacji „Lutni“ stwierdzić było można nowy dowód ustawicznego doskonalenia się chóru.

W wieczorze tym wziął udział Aleksander Michałowski. Wytworny pianista wykonał z maestryą rzeczywistą „Andante“ z fantazyi (Fis-minor) Mendelssohna, uwydatniając wszystkie cechy poetyczne dzieła. Czajkowskiego „Jesień“, Glucka-Saint-Saëns'a „Kaprys“ i utwory genialne Chopina w arcypięknej grze Michałowskiego błyszczały wszystkimi blaskami kolorytu i czarowały precyzją.

Pod palcami mistrza doskonały fortepian Kerntopfa dźwięczał pełnym metalem brzmieniem oraz potężną mocą; doznał też znakomity artysta przyjęcia entuzjastycznego.

Próba publicznego występu na własnym koncercie powiodła się jak najlepiej Felci Refjmanównie, młodziutkiej pianistce, którą w świat artystyczny wprowadza jej wyborny nauczyciel, p. Oberfeldt. Dziewięcioletnia artystka wykazała niezaprzeczony talent, muzykalność zdumiewającą, poczucie rytmu, pamięć, smak, siłę; wszystkie te znamiona, objawiające się w rysach dobitnych usposabiają względem młodziutkiej fortepianistki jak najkorzystniej. Dziecko jest przytem bardzo zdrowe i dobrze przez rodziców i nauczyciela prowadzone; można mu wróżyć przyszłość nader pomyślną na polu sztuki muzycznej.

Mówiąc o fortepianie, wspomnieć trzeba o powożeniu, jakiego doznaje znana artystka, p. Iwanowska-Zaleska, którą przed kilku miesiącami słyszeliśmy na koncercie w Warszawie. Utalentowana pianistka grała u Erarda w Paryżu oraz u Bechsteina w Berlinie; dzienniki zagraniczne chwalały bardzo gorąco grę naszej rodaczki. P. Zaleska w połowie b. m. wystąpi z koncertem w Wiedniu, gdzie również sfery muzykalne cenią jej talent.

W operze naszej dzięki występom Miry Hellerówny, rojno i przyjemnie. Znakomita artystka śpiewała między innymi wybornie „Afrykanke;“ jak zawsze, publiczność tłumnie zapełnia na występach p. Heller widowie teatralną. Po ukończeniu gościnny swej w Warszawie, Mira Hellerówna wyjeżdża do Barcelony, dokąd jej ofiarowano korzystne zaproszenie.

Personel stały opery warszawskiej pomnożył się w ostatnich czasach o kilka osób bardzo utalentowanych, co ze skwapliwością pospieszamy zanotować.

Angażowano mianowicie: p. Jadwigę Dylewską, artystkę obdarzoną prześlicznym, barwy metalicznej głosem kontraltowym, głęboko i serdecznie brzmiałym; jest to nabytek, której operze powinnować tylko można.

Bardzo dobrze przedstawił się słuchaczom świeżo również zaangażowany artysta p. Grabczewski. Bariton młodego śpiewaka ma dużo rzewności i odznacza się miłym dźwiękiem. Dwie partie przezeń wykonane: rola Sylwia w „Cavallerii“ i Walentego w „Faustie;“ zarekomendowały jak najlepiej utalentowanego artystę. Przyjęto także na stałe znanego tenorzystę, p. Stefana Wołoszkę.

Kierownictwo działu muzycznego w „Echu“ objął prof. Tadeusz Hanicki, który niedawno osiedlił się w Warszawie, po dwudziestopięcioletnim pobycie w Berlinie. P. Hanicki kończył szkoły w Odesie; grę na skrzypcach studiował w Wiedniu pod przewodnictwem Dont'a następnie zaś w szkole wyższej berlińskiej u Joachima, siedząc przy jednym pulpicie z przyjaciелеm swym Thomson'em. Jako wirtuoz zdobył p. Hanicki wybitne stanowisko nad Spreą. Oprócz tego poświęcał się teoretycznym studiom i literaturze muzycznej. Artykuły fachowe i muzyczne krytyki p. Hanickiego w „Berliner Börsen Zeitung“ zjednały autorowi uznanie, popularność i szacunek, odznaczały się bowiem wielką znajomością przedmiotu i bezstronnością sądu.

Adam Dobrowolski.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 5 marca.

Pomimo, iż jesteśmy w epoce wielkiego postu, to jednak nie można nazwać postnemi rozmaitego rodzaju rozrywek paryzkich, które co kilka dni dostarczane są spragnionemu wrażeń miastu.

Ostatnią korespondencję pisałem pośród karnawałowego gwaru, który potężnym rozbrzmiewał echem pośród wszelakich warstw tutejszego społeczeństwa, a dla maluczkich zakończył się w ostatni wtorek niewidzianą tu od lat dwudziestu kilku kawałką „tłustego wołu“ (du boeuf gras). Gdybym był w tej chwili pod jej oryginalnym, a pełnym haotycznej wrzawy wrażeniem, podjąłbym się wypełnić całą korespondencję jedynie wiadomościami z tej dawno oczekiwanej kawałki. Obecnie chcę w rozrywek paryżanie są w przededniu drugiej w tym rodzaju uroczystości, przygotowanej na półpoście. Będzie to tryumfalny pochód praczek na czele z jednodniową królową Paryża z pomiędzy ich grona wybraną. Dla uświetnienia krótkiego panowania młodej władczyni dwóch deputowanych podało bardzo oryginalny pomysł nadania jej prawa, aby w tym dniu mogła ułaskawić jednego ze skazanych na śmierć. Takie prawo łaski służy dziś jedynie prezydentowi rzeczypospolitej, najpierw więc zachodzi pytanie, jak on się będzie zapatrywał na tego rodzaju propozycję, a dalej dla uprzedzenia podobnego przywileju potrzeba by było przeprowadzić rewizję konstytucji, na co zapewne sfery prawodawcze nie chciałyby zużywać swej powagi i przywileju pozostanie nadal wyłącznie przy prezydencie, który w tej chwili, gdy paryżka praczka ośmiela się marzyć o odjęciu mu części władzy w wyjątkowej chwili ludowego igrzyska, święci tryumfy swego stanowiska w południowej Francji,

gdzie po ludgduńskich owacyach nastąpiły wspaniałe uroczystości w Nicei.

My tutaj również obchodziliśmy tryumfalny wjazd do Paryża generała madagaskarskiej armii Duchesne'a. Nastąpił on przed samym wyjazdem ztąd prezydenta, który w towarzystwie ministrów przyjmował generała w pałacu elizejskim i złożył mu życzenia. Duchesne przywiozł prezydentowi własnoręczny list królowej Madagaskaru.

Pismo *La France*, które pierwsze podało słynną listę panamezyków, ogłosiło w tych dniach swoją upadłość. Fakt ten nie potrzebuje komentarzy.

Z pośród tej powodzi intryg, fałszerstw, denuncyacji i osobistych zaczepiek oddalił się na chwilę prezydent. Ten odpocynny wyjazd mu na dobre, bo trzeba by posiadać stalowe nerwy, aby się nie nadwyrężyły w takim nieustannym naprężeniu. Sztuka to nielada w tych warunkach zachować równowagę u steru władzy.

Zresztą życie paryżkie jak zawsze wre ożywieniem na każdym kroku. Dobry humor powszechnie panuje i ujawnia się nazewnictwem w nieustannym gwarze na bulwarach, przepelnionych kawiarniach, w ożywionym ruchu na koncertach i przedstawieniach teatralnych. Niektóre teatru podały znów świeżą strawę, a opera odgrzała starą Faworytę Donizetti'ego i Coppelię Delibes'a.

W komedii francuskiej wystawiono nową czteroktówką sztukę Henryka Meilhac'a p. t. *Grosse fortune*, w której autor chciał dowieść starej jak świat prawdy, że pieniądź szczęścia nie zapewnia. Nowe dzieło wytrawnego autora przyjęto chłodno, a przy czyny można szukać w samej treści lub też w sposobie, w jaki została przedstawiona. Jest to sztuka moralna, na którą będą uczęszczać młode panienki, co nie często się zdarza nawet w komedii francuskiej. Bohaterami sztuki są młodzi nagle z bogactwami małżonkowie. Spadłej niespodziewanie fortuny użyć nie umieli i trzeba było całego morza udręczeń, aby doszli wreszcie do zrozumienia siebie i nowych dla nich warunków życiowych. Najpiękniejszym jest akt czwarty, a w nim wzruszająca scena pojednania poważniejszych. Bohaterów grają Le Burgy i panna Bartet z całą finezyą ich wielkiego talentu.

Ambigu przyciąga w swoje mury żądnych wrażeń paryżan nowym pięcioaktowym dramatem Piotra Decourcelle'a *Les deux gosses*. Jest to historia dwojga nieszczęśliwych, a przypadkowo do siebie zbliżonych dzieci każde z nich należy do innej warstwy społecznej, a wspólna nędza i szereg najcięższych przygód łączy ich węzłami najściślejszej przyjaźni i przywiązania. Sztuka bardzo interesująca, pomimo wielu epizodów przeprowadzonych bez ścisłej logiki i niedostatecznie wymotywowanych.

W Wodewilu dają też przerobkę z powieści Edmunda Goncourt'a p. t. *Manette Salomon*. Treść osnuta na stosunkach życia artystycznego tutejszego, a szczególnie z życia artystów malarzy.

Bohaterem sztuki jest właśnie młody malarz, ginący dla sztuki przez niewłaściwe ożenienie się z modelką — rzeczą, która się tutaj często powtarza. Doskonała gra artystów ocala sztukę od upadku, bo krytyka tutejsza jednogłośnie zarzuca scenicznej przeróbce doskonałej powieści, iż utraciła te cenne zalety, które posiadała w pierwowzorze.

W Nouveautés wystawiono *L'innocent*; są to trzy akty, które można nazwać wesołym melodramatem, z tak zabawnej strony są w nim wzięte najbardziej dramatyczne momenta.

Panna Fifé, wyjęta z obrazowo realistycznej noweli Maupassant'a, zapełnia po brzegi salkę Teatru wolnego. *La note crue* podoba się zawsze przeciętnemu tłumowi.

Do liczby scenicznych nowości zaliczyć jeszcze należy *La fiancée en lotterie*, operę komiczną w trzech aktach, wystawioną w teatrzyku Folies dramatiques z doskonałą i wesołą muzyką Massager'a. W związku z teatralnymi wiadomościami zawiadamiam o wielkim wieczorajszym pożarze składu dekoracji i akcesoriów teatru Ambigu. Straty dosięgają miliona franków, gdyż oprócz dekoracji i budynki uległy kompletnemu zniszczeniu.

Z muzyki poważnej jest do zaznaczenia pyszny prawdziwie artystyczny koncert Leona Delaiffossa, koncert à grand succès p. Zaleskiej, oraz koncert polski, dany w sali towarzystwa rolniczego. Dochód z koncertu miał zasilić fundusze kasy pożycz-

kowej tutejszego stowarzyszenia studentów — polaków. Pani Jadwiga Zaleska i p. Władysław Górski głównie przyczynili się swoim udziałem do powodzenia studenckiego koncertu. Inni wykonawcy byli też owacyjnie przyjmowani za wykonanie pięknych pieśni ze Straszego Dworu i z Halki.

W zeszłą niedzielę na poranku muzycznym Lamoureux'go w cyrku na polach elizejskich dano nam przedsmak nowej trzyaktowej opery Teodora Dubois, zatytułowanej *Circée*. Nowość rozbudziła wiele ciekawości. Uczony organista S-tej Magdaleny należy do małej liczby tych, co dużo myślą nim zaczną pisać dzieło, a po napisaniu starając się w możliwie najlepszych warunkach przedstawić je publiczności. Sądząc po wspaniałym fragmencie z nowej opery, można by powiedzieć iż nowa kompozytorka posiada wiele oryginalności i siły, ale zarazem ma w sobie pewną ostrą szorstkość, graniczącą z dzikością. Libretto pisał Jules Barbier; osnute jest na tle krwawej wojny w Hiszpanii w 1809 r., i to zapewne przyczynia się do całego nastroju muzyki. Zresztą dopiero po wystawieniu scenicznem można będzie wydać sąd o całości.

Kilka sławnych imion zapisało się znów na karcie nekrologicznej zeszłego miesiąca.

Najpierwszem z nich było miłośnego kompozytora, Ambrożego Thomas'a.

Sędziwy muzyk doczekał się pięknego wieku (urodził się 5 Sierpnia 1811 r.) i zaznał wszelkich zaszczytów swej rozgłosnej chwały. Był on członkiem akademii sztuk, dyrektorem konserwatorium paryskiego, a nadewszystko twórcą najsympatyczniejszej z oper, jaką jednogłośnie nazwano *Mignon*. To dzieło muzyczne, jaśniejące niewysłowionym urokiem szlachetnego i głębokiego spokoju, pełnią przemawiającej do duszy melodii, artystycznym, a pełnym prostoty wykończeniem bez burzliwego dramatyzmu w kompozycji, od razu zjednało sobie wszechświatowe uznanie i spopularyzowało imię twórcy daleko po za granicami Francji.

Hamlet, *Françoise de Rimini*, Karnawał wenecki, *Cadi*, *Sen nocy letniej* i kilka innych są doskonałymi i znanymi operami, jednak żadna z nich nie doczekała się takiej wziętości i uznania, jak poetyczna *Mignon*.

Sędziwy mistrz umarł na zapalenie płuc, wywołane przeziębieniem. Miasto oddało mu cześć wspaniałym pogrzebem, zwłoki spoczęły na cmentarzu Monmartre.

W gabinecie Thomas'a, gdzie przesunął się cały inteligentny świat Paryża, jest kilka jego doskonałych portretów. Ostatnim, a nieznanym jeszcze ogółowi portretem mistrza jest wspaniały portret, a raczej obraz Benjamina Constant'a, który nie opuścił jeszcze pracowni artysty. Obraz ten przedstawia Thomasa en face na tle pejzażu; w głębi postać uśmiechniętej Ofelii, zbierającej kwiaty ponad brzegiem rzeki. Znakomity kolorysta stworzył w ten sposób portret historyczny, apoteozujący muzyka. Obraz ten będzie wystawiony w tegorocznym salonie na polach elizejskich.

Przed kilkoma dniami odbył się tutaj pogrzeb Arséna Houssaye, płodnego i znakomitego romansopisarza i poety. Był on przedewszystkiem wielbi-cielem XVIII wieku i najpiękniejsze jego utwory datują się z tej epoki.

Arsène Housset dit Houssaye urodził się w 1815 roku i w 21 roku życia debiutował po raz pierwszy na arenie literackiej, próbując potem z kolei roman-su, historii, poezji, teatru i krytyki. Najlepszymi jego działami można nazwać *Alice*, *Comedienne*, *Confessions*, *Galerya XVIII wieku*, *Le 41 Fauteuil*, *Tysiąc jedna nocy paryzkich*, *Córka Sedaine'a* i t. p. Wiele przyczyn złożyło się na to, aby w młodym poecie wzbudzić zapal do minionej epoki; pięknie też zilustrował ją w portretach i wiernie opowiedział panowanie Ludwików XV i XVI. Już córki Ludwika XV podarowały jego dziadowi piękną bibliotekę. Następnie Róża Mailfert, ciotka poety, a była dama orszaku Maryi Antoniny, wpoila w młody umysł swe ubiegłe wspomnienia z tamtej epoki. Te same wrażenia odebrał on od pani Vigie-Lebrun, prowadząc z nią długie rozmowy o przeszłości, tak wszechstronnie poznanej przez ten wyjątkowy talent. Dzięki takim wpływom młody Houssaye stał się posiadaczem wielu drogocennych historycznych pamiątek i nieomal naoczny świadkiem ubiegłej epoki, którą też z niezwykłym talentem opisywał. Od

młodości aż do chwili obecnej, nieomal nawet do samej śmierci, był to człowiek pełen elegancji manier, światowemu życiu oddany. Od 1830 r. rzucił się w wir światowy i literacki, był ulubieńcem salonów i dam, przyjacielem najślawniejszych osobistości. Jeszcze przed dziesięciu laty dawał wspaniałe festyny w swym pałacu, położonym na Avenue Friedland około Juku tryumfalnego.

Piszący te słowa sam należał do grona zaproszonych gości sławnego pisarza. Wydawał on wtedy rodzaj balu kostiumowego, zapelnionego najpiękniejszymi kobietami ówczesnego Paryża. Bogate i niezwykle stroje, wspaniała dekoracja salonów, gwar rozmów i olśniewające światło żyrandoli—wszystko to sprawiało wrażenie fantastycznego obrazu.

Na tem kończę, gdyż o dziełach Housseye'a, jak i o całym życiu tego głośnego pisarza, potrzebaby napisać osobne studium, co się do moich nowin nie nadaje.

Dzienniki zapełniły szpalty wspomnieniami z życia zmarłego pisarza, tłumy ludzi odprowadziły zwłoki jego na cmentarz Père-Lachaise, mowy pogrzebowe wygłosił dyrektor departamentu sztuk pięknych Rougon, Zola i Clarette. Houssaye pozostawił syna Henryka, znakomitego historyka, a nowo kreowanego członka Akademii.

Umarł także znakomity lingwista, Abel Hovelacque, dyrektor paryskiej szkoły antropologicznej. Wydał on cały szereg znakomitych dzieł, jakimi są: *Początki ludzkości*, *Podręcznik antropologii*, *Nasz przodek* i wiele innych.

Śmierć pani Jules Favart okryła żałobą tutejszy świat uczonych. Od dwudziestu lat pani Favart z domu Velten kierowała szkołą normalną w Sévres, z której wyszło wiele doskonale wychowanych i uczonych kobiet. W 1875 poślubiła Juliusza Favarta a po kilku latach owdowiawszy, z zapałem poświęciła się prowadzeniu tej wzorowej szkoły, w której pozostawia niezatarte wspomnienia. Była to kobieta niepospolitego wyższego umysłu i z wielką siłą i samodzielnością charakteru.

Chcę też wam przysłać na post trochę pokarmu duchowego w formie małego przeglądu literackich nowości.

Zaczynam od świeżo wydanej powieści hr. Stanisława Rzewuskiego *Filles du Rhin*. Dzieło to może być nazwane melodramatem, romansem psychologicznym, poematem symbolicznym, wagnerowską symfonią lub też filozoficzno-politycznym traktatem. Są tam głębokie i zupełnie błahie myśli; jedne i drugie wypowiedziane z subtelną drobiazgowością. Oto fabuła: młody francuz kocha się w pięknej i dobrej córce profesora Niemca. Akcja rozgrywa się pierwotnie w okolicach Wiesbadenu, gdzie młodzi ludzie oczekują pozwolenia matki na ich związek. Zamiast pozwolenia matki zjawia się ojczym narzeczonego z oświadczeniem, że młoda dziewczyna nie jest córką profesora, a matką jej była sławna awanturница, niegdyś kochanka bogatego pana de Simeuse, który ciągle otacza opieką młodą dziewczynę. Tak więc biedna ofiara nieszczęśliwych okoliczności za jednym zamachem dowiaduje się rzeczy, które jej łamią życie, a w takiej chwili duchowego rozstroju odstępuje ją nawet narzeczonego, nie umiejąc wybrnąć z trudnego położenia, i małżeństwo zostaje zerwane. Kiedy więc dla świata młoda bohaterka pozostaje córka de Simeuse'a, nagle zjawia się w Wiesbaden konający w szpitalu niejaki Darski i wyjawia jej tajemnicę oświadczeniem, że jest jej ojcem. Po jego śmierci młoda bohaterka wpada na pomysł oczyszczenia pamięci matki, oświadcza się panu de Simeuse... i na tem małżeństwie powieść się kończy.

Ufl czytelnik doznaje niewymownej ulgi zamknąwszy książkę, tak pełną powikłań, intryg i rozmaitych perypetii romansowych. Autor rzucił, niektó-

re kawałek subtelnej Bourget'owskiej analizy obok melancholijnej filozofii, będącej cechą wszystkich jego utworów. Oprócz tego chciał dowiedzieć swej wysokiej filozofii humanitarnej, wprowadzając tragiczną postać starego Darskiego i dając liryczne opisy pięknej nadreńskiej natury. Mogłoby się to udać autorowi, gdyby powieść posiadała styl łatwiejszy, jasny, zwiezły zamiast długich męczących frazesów, zwłaszcza opisowych. Dialogi za to są rzeczywiście doskonałe i znać po nich, że autor jest znakomicie ze sceną obeznany. Ma więc dzieło p. Rzewuskiego pewne zalety i niewątpliwą cechę oryginalności; jest jednak nie dla każdego dostępnym i zrozumiałym.

Popularny tutejszy humorysta, Oktawiusz Pradelles wydał u Flammariona nowy zbiór swych humorystycznych monologów. Jest w nich wiele rubasznej, ale szczerzej i dobroduszniej wesołości. Monolog p. t. „Imieniny mojej żony“ zawiera wiele typowego humoru francuskiego.

Ukazał się też pierwszy tom pamiętników Henryka Rocheforta, zawierających oprócz pięknego stylu cenne historyczne dokumenty.

Dowcipny i złośliwy satyryk, Aureliusz Scholl, w świeżo wydanym dziele podniósł swą obosieczną broń dla wyszydzenia nadużyć francuskiej administracji. Żywo skreślone, zajmujące opowiadanie uczyni zapewne dzieło popularnem, ale pośpieszam dodać, że nie jest ono nacechowane zupełnie sprawiedliwym sądem.

Stosowną lekturą dla młodych panien jest powieść hrabiny Serurier *Le Roman de Jehanne*, nie bogata w treść i akcję, ale za to posiadająca zalety pięknego stylu i pewnej wykwiłnej arystokratycznej elegancji.

W tym samym rodzaju jest zbiór nowowydanych monologów Pawła Baur; są one pełne prostoty i dowcipu. Jeden z nich p. t. *L'heureuse rencontre* jest zabawnym opowiadaniem przygód córki młodego w małej prowincjonalnej miejscinie. *Madame la doctoresse* przedstawia się jako naiwna naręczona zamiast uczzonej pedantki. *Un bal de noce* dowodzi, iż asystując obrządkowi ślubnemu można nabrać ochoty do małżeństwa.

Monologi te, napisane poprawnym i wytwornym stylem; grzeszą monotonością.

Wzbudziły też tutaj zajęcie poezje p. Heleny Vacarescu, byłej damy dworu królowej rumuńskiej; kilka lat temu młoda poetka była przedmiotem zajęcia całej Europy z powodu miłości, jaką zapłonął ku niej następca tronu rumuńskiego. P. Vacarescu kształci się obecnie u p. p. de Heredin i Sully-Proudhomme'a.

Jako przedsmak wiosennych artystycznych zapasów mamy tu wystawę dzieł sztuki kobiecej w pałacu przemysłu na polach elizejskich. Szkoda wielka, że nie wiele dobrego da się o niej powiedzieć; tak mało znajduje się prac, zasługujących na wyróżnienie; oczywiście iż są wyjątki: a do tych zaliczają się prace Maryi Galau, Laury Cruton i młodej warszawianki, Amelii Rosenblum.

Na tem kończę dzisiejsze sprawozdanie, obiecując w następnym dać więcej wiadomości z dziedziny sztuki.

C. H.

Z bieżącej chwili.

— Wiadomości Petersburskie piszą, iż pewna grupa osób złożyła w redakcyi tej gazety ofiary na rzecz abisyńczyków, przyzywając publiczność do subskrypcyi na ten cel.

— Donoszą z Petersburga, iż ogłoszona została przez dzienniki taryfa podmiejska dla czterdziestu czterech miast, której wprowadzenie nastąpi d. 1-go maja.

— Na posiedzeniu członków zarządu Towarzystwa głuchoniemych odbyło się obliczenie funduszu Towarzystwa. Ze składek członków płaconych 1000 po 2 rs., wpłynęło do kasy 151 rs., ze zwrotu pożyczek 122 rs. Jednemu z członków udzielono pożyczki rs. 15, na utrzymanie gospody Towarzystwa wydano w roku bieżącym 20 rs. Z powodu braku miejsca w przytułku starców na Górze Kalwaryi ubodzy i starcy głuchoniemi umieszczonemu tam być nie mogą, w skutek czego dyrektor instytutu pragnie założyć podobny przytułek w Warszawie, lub w jej okolicach wyłącznie dla głuchoniemych.

— Według porządku przyjętego od początku istnienia Tow. Sztuk pięknych, przypada na rok 1897 konkurs architektoniczny. Warunki konkursu będą ogłoszone na zebraniu ogólnem Towarzystwa.

— Otwarcie wystawy portretów w Salonie Artystycznym przy Nowym-Świecie zapowiedzianem zostało, w skutek czego zarząd Salonu zwrócił się za pośrednictwem „Kurjera Warszawskiego“ do osób, posiadających portrety pendzla Henryka Rodakowskiego i Kazimierza Pochwalskiego o użyczenie ich na czas trwania wystawy. Salon zgromadził bogaty zbiór dzieł tej gałęzi sztuki i brakuje mu jedynie dzieł wymienionych artystów.

— Kościół parafialny w Nowo-mińsku otrzymał dwa nowe obrazy: Ś-go Antoniego i Ś-go Rocha, dzieła wyższej wartości artystycznej, a dodać trzeba, że wykonał je pleban miejscowy, ks. dziekan Karpiński, którego staraniem świątynia ta pańska została odrestaurowana z zewnątrz i wewnątrz. Koszta wyniosły 7,000 rs., złożonych przez parafian.

— Komisyja szkolna krakowskiego Towarzystwa ogrodniczego obradując w sprawie zakładania szkół, któreby kształciły ogrodników, uradziła projekt różniący się w szczegółach od wniosku p. Karola Zawady, który proponował ogrodniczą szkołę niedzielną. Projekt obejmuje demonstracje praktyczne i wycieczki do różnych ogrodów w czasie wiosny, lata i jesieni; w zimie zaś urządzenie popularnych odczytów ogrodniczych, w skutek których praktykanci mogli by nabywać wiadomości teoretycznych. Proponowano zarazem utworzenie przy Towarzystwie stałej sekcji szkolnej, która by w miarę realizacji zapisu ś. p. Klemensa Paprockiego obmyśliła urządzenie i kursów ogrodniczych.

— Towarzystwo Tatrzańskie odbyło pod przewodnictwem hr. Zamojskiego Stefana zebranie, na którem sprawozdanie działalności Towarzystwa wykazało, iż rozszerzyło ono kosztem swoim budynek szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, zbudowało nowe schronisko i altany, skończono utorowanie ścieżek przez Zawrót i udzielono subwencji na koszt drogi bitej w Strążyskach; dalej wydano pięć heliograviur ze wschodnich Karpat na premia dla członków. Budżet wykazuje na rok bieżący 13,363 zł. reń., dochodu. Skutkiem żądań artystów malujących panoramę tatrzańską, ubitą będzie dla publiczności ścieżka z Murcha na Miedziane, który to szczyt po wykonaniu panoramy zostanie uznany przez szersze koła publiczności za najpiękniejszy wśród górskiego tego krajobrazu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: ark. 3 powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—Notatki pedagogiczne. — Kędy droga. Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—**Ruch muzyczny**, przez Adama Dobrowolskiego.—**Nowiny paryżkie**, przez C. H.—**Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 3.—Przegląd mód. 30 wzorów i robót z opisem. **Sekreta gospodarskie**.—**Dyspozycja stołu**.